ROK 1. CENA 30 GR.

# ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 26. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 4 sierpnia 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA





Przywóz mleka do półkolonji Rady Szkolnej w parku Sobieskiego.

K. STATTLERÓWNA.

# SAMORZĄD UCZNIOWSKI W SZKOLE.

Stulecie dziecka, a raczej powiedzmy, epoka dziecka, to już zjawisko, nie dające się zaprzeczyć. Świat dorosłych coraz poważniej i życzliwiej zbliża się do świata dzieci i młodzieży, starając się poznać go, zrozumieć i wyświadczać mu jak najwięcej dobra. Zanikają surowe metody lat ubiegłych, dziecko przestaje być przedmiotem mustrowania na wzór obcych mu uczuć i myśli ludzi dojrzałych.

Wychowawcy, t. j. rodzice i nauczyciele, starają się stworzyć dziecku własny jego świat nietylko w postaci małych ławek, stoliczków i godzin pracy lub zabawy, lecz w postaci wszechstronnego pola dla jego porywów, pragnień, przeżyć i wynikających z nich czynów. Zwrot powyższy ma głębokie podłoże w postępach fizjologji i psychologji, t. j. nauk o fizycznym i duchowym ustroju człowieka. Wiedza pedagogiczna, oparta o te nauki, patrzy dziś na dziecko, jakiem ono jest w *danej* chwili swego rozwoju. żąda od niego tylko tego, na co ono może się zdobyć, stwarza mu warunki, w których mogą zakwitnąć i dać plon największy każdorazowe jego siły. Nietylko pod kątem owego *jutra*, do którego dziecko dorasta, lecz i w imię każdego *dzisiaj*, które przeżywa, pozwalamy mu działać ,trudzić się, pracować i cieszyć pełnią życia.

Jak soki żywotne młodego, od lat najwcześniejszych swobodnie owocującego drzewka, tak siły *czynnego* świata dzieci wzmagają się i bogacą i na własny rachunek czerpią z życia mądrość i doświadczenie.

Normalna, to jest pracująca, pełna miłości i prostoty rodzina, rozwiązać może to zadanie wychowawcze prędzej i łatwiej, niż szkoła. Tam znajdzie się zawsze właściwe miejsce dziecka, odpowiednia jego wiekowi, a potrzebna dla całości *praca*, do której z zapałem rwą się czynne z natury ręce dziecięce. Głębokie poczucie wspólnych potrzeb domu pozwala dziecku naprawdę współdziałać, daje mu zadowolenie ze spełnionego pożytecznego czynu.

Trzeba tylko, by rodzina nauczyła się nie wyzyskiwać sił dziecka, nie niszczyć jego twórczej radości, szanować dobrą wolę, a z nieuniknionych błędów nie robić wielkiej sprawy.

O wiele trudniej zagadnienie własnego, prawdziwego świata dzieci przedstawia się w szkole. Wygląda to dziwnie, bo przecież w szkole jesteśmy właśnie *wśród dzieci*. Lecz jak niedawno jeszcze wracające ze szkoły dziecko w domu dopiero stawało się napowrót ową Manią, czy Franią, Jaśkiem, czy Antkiem, pełnym pomysłów, radości, niepokojów, czy nawet trosk naprawdę *własnych*, dziecinnych, na własną odpowiedzialność przeżywanych. Szkoła *uczyła* — i na tem wyczerpywała się jej rola.

Dziś już jednak tak nie jest. Szkoła codzień bardziej staje się drugim *domem* dziecka, w którego progi wnosi ono całą swą duszę, pragnienie, czynu, zaufanie do świata dorosłych i swoją z nim współpracę.

Zadanie szkoły różni się jednak zakresem swoim od zadań rodziny. Szkoła, to już społeczeństwo, którego wewnętrzne stosunki są równie złożone, zmienne, trudne, a często nawet pełne nieprzyjaznych czynników, jak stosunki każdej grupy społecznej. I szkoła dzisiejsza musi szukać sposobu, by postawione w tem własnem, dziecinnem społeczeństwie dziecko, nie przestawało swobodnie działać, kształtować życia wokoło siebie, liczyć się z obcemi siłami, które go otaczają, a swoje własne siły rozwijać i kazać je szanować.

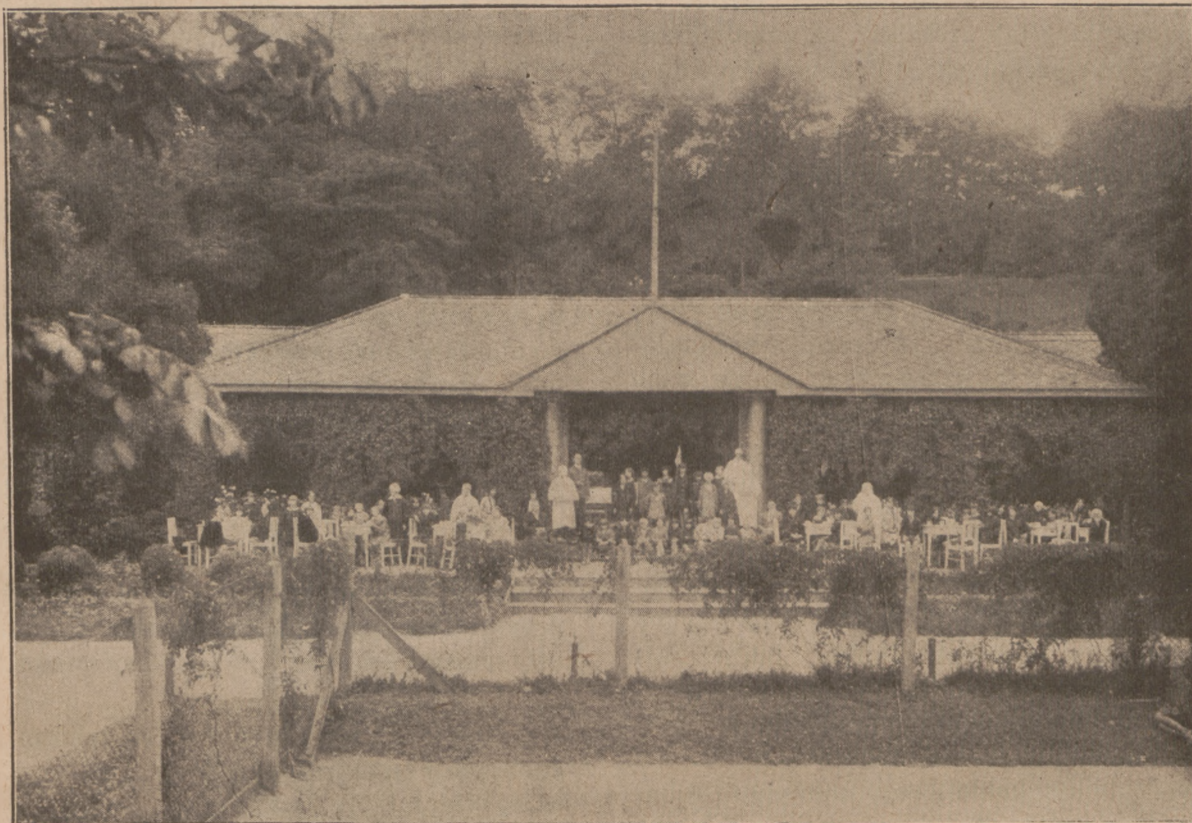
Szkoła musi stworzyć warunki, w których dziecko ma się czuć nadal bezpiecznie, lecz bardziej samodzielnie, musi *rozszerzyć* świat dziecinny o cały nowy zespół interesów klasy, której cząstkę stanowi. Spędzając pół dnia poza domem, dziecko nie może przerzucać się ze skóry ucznia do skóry syna lub córki rodziny, lecz musi czuć się wciąż sobą, wolnym pływakiem na ruchliwych falach swego młodego życia.

Kwestja swobody dziecka w szkole stanowiła dla pedagogów całego świata, nawet czasów dawniejszych, trudny orzech do zgryzienia. Granice tej swobody, cele nauczania, krzywda dziecka, trud wychowawcy, to były pytania do rozstrzygnięcia. Dziś jesteśmy już na drodze,

która prowadzi do pomyślnych wyników. Szkoła przestała przeciwstawiać się dziecku, lecz zrobiła sobie z niego najbliższego sprzymierzeńca, ma wspólny z nim splot interesów, potrzebuje jego współpracy, korzysta z jego doświadczeń, dobrej woli, inicjatywy. *Świat dziecka w szkole* zaczyna się urzeczywistniać.

W praktyce nazywa się to *samorządem uczniowskim.*

(D. c. n.).



Altana półkolonji Rady Szkolnej w parku Sobieskiego.

H. DEHNELOWA.

# PÓŁKOLONJE RADY SZKOLNEJ.

Skwarne, upalne dnie, duszne, niespokojne noce! Tysiące małych „obywateli" warszawskich śpi jeszcze, jak może, w swoich ciasnych mieszkaniach, często po kilkoro w jednem łóżku! Okna otworzyć nie można w nocy, bo przyjdzie złodziej! Niema czem oddychać! Duszno!

Tymczasem w pięknym, zacisznym, starym parku Sobieskiego (przy ulicy Myśliwieckiej) panuje już ruch, wre praca! Jeden po drugim zajeżdżają wozy przed dużą, cienistą od dzikiego wina, kolorową od kwiatów altanę. Wyładowuje się wielkie blaszanki z mlekiem i olbrzymie kosze świeżych, rumianych bułek!

Wszystko to na przyjęcie tych małych „obywateli", co już od godziny 8-ej zaczną się schodzić tutaj długimi szeregami z Solca, Czerniakowskiej, z całego Powiśla. Idą z matkami, z siostrami, lub bez żadnej opieki, same. Są różne: niezaradne i pocieszne, smutne, o krzywych często nóżkach, o mizernych, bladych twarzyczkach — dzieci suteryn, dzieci zaniedbane, często brudne, są i czyste, miło wyglądając w swoich skromnych sukienkach, dzieci, co to mają dbające o nie matki, są nieśmiałe i są zuchwałe, są ciche i są gadatliwe — różne — i różni wyrosną z nich ludzie!

Z radosnym szumem, zdaje się, witają ich stare, śliczne drzewa parku! Wesoła, żywa masa dzieciaków rozbija się pod kierunkiem wychowawców na „swoje“ grupy z chorągiewkami różnych barw. Każdy ma swój znak — guziczek koloru chorągiewki. Każdy już wie, co ma robić, tylko te, co świeżo przybyły jeszcze się nie orjentują, i jak „rekruci“, są przedmiotem opieki „doświadczonych“. Pouczają ich starsi „weterani“.

— Idź do „czerwonej“ pani, spytaj o „zieloną“ panią — zależnie od koloru chorągiewki.

Nareszcie porządek; każdy jest przy swoich. Ciepło, więc zbyteczną odzież trzeba zostawić w szatni. Tak już lekko ubrani maszerują, gimnastykują się i już z niecierpliwością zerkają w stronę altany. Śpiewają wesołą, ulubioną piosenkę o tej dziewczynie, „co ma jasne włosy“. Szczególnie wydziera się mały Janek z nosem trochę nie w porządku, i zapamiętale wywodzi: że „dziewczyna czaasem, że dziewczyna czaasem bu-zia-ka u-życzy!“.

Wchodzimy do altany. Prawdziwy raj: przestrono, czysto, świeżo, kwiaty, szeregi białych stołów z kubeczkami mleka; przy każdym duża, stugramowa bułka. Służba w białych fartuchach i czepeczkach. Ład i porządek. Ogromny patefon wygrywa przeróżne melodje i ulubione piosenki, aby smaczniej się jadło. Dzieci wesoło zajmują każde swoje miejsce. Rozkaz „wstać“ — krótka modlitwa i mleko z bułeczką znika bardzo prędko. Grupa wstaje, odchodzi; jej miejsce zajmuje inna — wszystko we wzorowym porządku, bez rwetesu i zgiełku... Po śniadaniu dzieci grupami rozchodzą się po wielkim parku, bawią się w piłkę siatkową, ćwiczą, uczą się piosenek, słuchają pogadanek i t. d., zależnie od wieku i czasu. Bardzo też lubią się kąpać pod prysznicami. Tutaj się pięknie umyją i odświeżą! Czasami zdarzają się małe przykrości: skaleczy się nogę przy skakaniu, w głowie się zakręci, brzuszek zaboli, — zaraz do ambulatorjum, które mieści się w osobnym pokoiku, gdzie stale urzęduje doktór, jest wygodne łóżko, różne bandaże i leki...

Tak niepostrzeżenie i wesoło mija jedna godzina za drugą. O 12-ej przerwa. Dzieci idą do domu, a od godziny 3 do 7-ej znów wszystkie są w parku, znów się bawią i ćwiczą i znów idą do altany na suty podwieczorek. Przez cały więc dzień park Sobieskiego rozbrzmiewa tysiącami głosów dziecięcych, które schodzą się tutaj z zakurzonych ulic i podwórek Warszawy [1]). Mają tu czyste powietrze, zieleń i kwiaty, mleko, swobodę, ruch — i opiekunów dobrych i kochających dzieci. Głównym kierownikiem jest p. Wójcik, kierownik szkoły przy ul. Zagórnej 9, pomocnikiem jego p. Lewandowski. Prócz nich cały szereg wychowawczyń i wychowawców, troskliwych i oddanych.

Prócz półkolonji w parku Sobieskiego, Rada Szkolna urządziła półkolonje przy ul. Czerniakowskiej 128 i Zagórnej 9.

[1]) Z półkolonji R. Szk. w parku Sobieskiego korzysta 2.300 dzieci.

---

SYDOR REY.

# DZIECI I LATO.

## MIASTO

Zima — pasmo cierpień dla półnagiej, głodnej dziatwy. W paśmie tu i ówdzie świecące punkciki: szczęśliwsze chwile. Może tylko szubieniczna radość? Gdy w dziurawych bucikach, blade, ślizga się po lodzie!

Zima — przyjemna dla dziecka sytego i odzianego. W ciepłym pokoiku słucha barwnej bajki. Patrzy przez okno na srebrne płatki śniegu. Ciepło odziane ciągną na sankach.

A jednak wszystkie tęsknią za latem. Nie wszystkie jednakowo. Najsilniej — zziębnięte, zgłodniałe. Z nadzieją lepszej przyszłości. Inaczej syte, odziane. Z pragnieniem jakiejś zmiany.

Jedno wspólne wszystkim. Pragnienie swobody.

Ugodził gorętszy promień słońca; chce zdjąć

buciki, ciepłe pończochy. Nagą stopą dotknąć ziemi. Rodzice nie pozwalają. Zdejmuje buciki na dworze, gdzieś w kącie. Ucieka boso...

Gorąco. W mieszkaniu dzieci chcą koniecznie leżeć na podłodze. Ukradkiem rozpościerają koc; kładą się. Za ten wybryk często nagana...

Biegać, biegać bez ustanku. Miasto duże, ale ciasne. Samochody, tramwaje, ludzie przeszkadzają. Pęd silny. Mnożą się wypadki przejechania.

Chciał koniecznie w nocy spać na dworze. Przed ich oknem były dwie grządki. Mieszkali na parterze. W nocy otworzył okno, położył się na grządce. Powtórzyło się kilka razy...

Matka spaceruje ze synkiem w ogrodzie. Synek wyrwał rękę. Puścił się biegiem.

— Wpadniesz na kogo!

— Niegrzeczny! Niewychowany!

Nieprawda! To lato...

Bawią się w ogrodzie. Skaczą, biegają. Piękny trawnik. „Pohasać na nim!“... Okrutnie ciągnie...

*„Nie deptać trawników!“.*

Stoją nad ogrodzeniem bezradne. Nie można się bawić...

Rozochocone dzieci. Obrzucają się grudkami. Starszym niewygodnie. Oburzają się:

„Co to wyprawiają?“.

Wieczór. Dziewczynki i chłopcy. Ustawili się parami. Spacerują po chodniku. Hałaśliwie śpiewają. Przychodzą starsze siostry, matki:

— Do domu! Już późno!

Nie chcą. Tak rozkosznie! Gonitwa. Żałosny płacz...

W ogrodzie staw. Dzieci opierają się o barjerę. Wpatrują się: rybki.

„Ryby łowić!“.

Najzręczniejszy znalazł patyk. Uwiązał nić. Zarzucił. Dzieci radośnie krzyczą.

„Cicho! Płoszycie ryby“.

Ucichły.

— Józio!

— Łowię ryby!

— Nie wygłupiaj się! — Starsza pani pociągnęła Józia za rękę...

Na chodniku leży malec. Grzebie łopatką. Chce wygrzebać kamień. Samotnie, cierpliwie pracuje.

— Och, jak łopata skrzypi, — wzdrygnął się starszy pan.

Między dwoma domami wolny plac. Kępki trawy. Słońce świeci. Dzieci wypadają z domów. „Na trawę!“.

Wśród kurzu, hałasu miejskiego niestrzeżony skrawek przyrody. Dzieci odszukały. Rozłożyły się. Dobrze im. Przychodzą zmęczeni robotnicy.

— Ano, wstańcie!

Muszą słuchać.

— Ach! — wyciąga się robotnik.

Dzieci idą szukać innego skrawka.

Ogródek. Sam piasek. Malec leży. Leniwie przebiera palcami.

Dziewczynka ostrożnie wsypuje piasek do wiaderka. Chłopczyk blaszanem pudełkiem formuje babki. Tłoczą się. Walczą. Ciasno im, jak rybom w beczce u rybaka....

Mieszkanie — stęchła piwnica. Lato woła, nęci. Synek przez cały dzień nie wraca do domu. I na noc nie wraca. Powietrze, zieleń wabi. Śpi nad brzegiem rzeki. Towarzystwo złodziei, wykolejeńców. Słucha rozmów.

Wśród nadbrzeżnych, letnich nocy rodzi się pierwsza zła myśl...

Nie dopuścić do tego. Dać im to, co im się należy od lata. Dać im ogrody, przestrzeń, zieleń, rzekę. Młodszym i starszym, i całkiem malutkim.

Posyłać na kolonje; na obozy; na wycieczki. Jeśli już w żaden sposób nie można prawdziwej wsi, to przynajmniej półkolonje, zabawy w ogródkach, wśród drzew.

Osłodzić, umilić rozpalone, kamienne, miejskie lato!

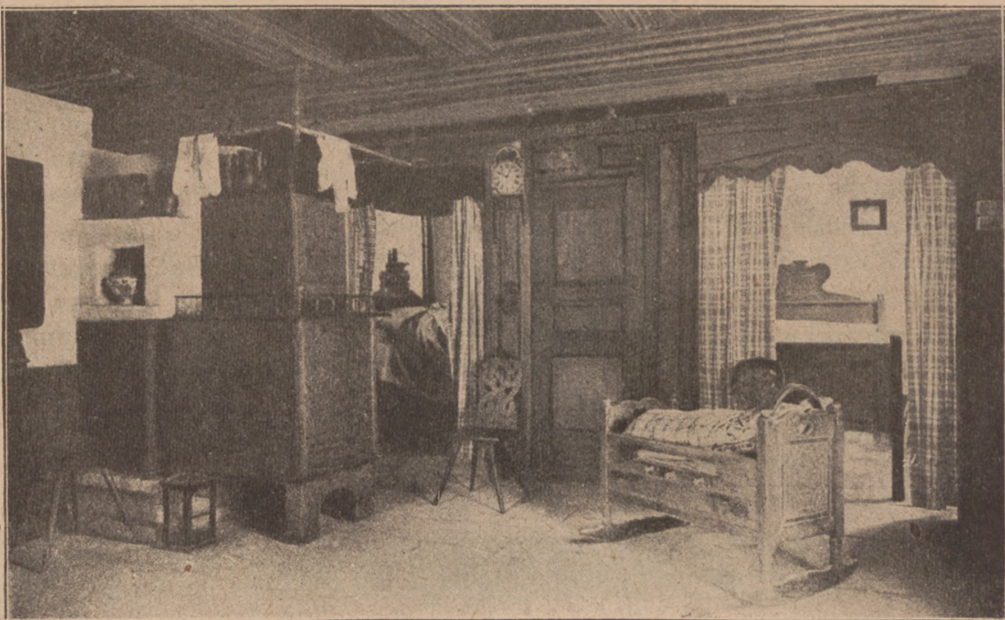
# OBÓZ WAKACYJNY W ALZACJI.



Obóz wakacyjny w Mont Rudolf.

Godzina siódma rano, słoneczny lipcowy dzień.

Przyczajona na swem łóżku, czekam, rychło odezwie się trąbka budząca cały obóz. Dziewczęta moje, ponakrywane kocami, śpią smacznie, a co ważniejsza obawiam się, iż nie przebudzą się również na odgłos trąbki. Jesteśmy w obozie wakacyjnym we Francji. Mieszkamy w Mont-Rudolf oddalonej o parę kilometrów od Belford. Obóz znajduje się na górce zalesionej, z której roztacza się śliczny widok na góry Wogezy z jednej strony i na wyżynę Jura z drugiej. Sypialnie mieszczą się w długich murowanych domkach zawierających pięć do sześciu sal i umywalnie betonowe z prysznicem, na dwadzieścia osób. Śpimy na łóżkach zasłanych materacem, wałkiem zamiast poduszki i dwoma kocami. Z dołączeniem naszych jaśków, mamy królewskie posłania. Do moich drzemiących uszu dolatuje odgłos trąbki, jednocześnie za oknem woła po francusku czyjś wesoły głos, „hop - la, wstawać!“ zaraz potem rozlega się chór cienkich głosików, niby żabi koncert „hip, hip, hip, hurra, hurra, hurra“! To dzieci alzackie wstają w sąsiednich sypialniach. Teraz ożywia się cały budynek. Z korytarza dobiega tentent bosych nóg, biegnących na wyścigi do umywalni, przesyłanie sobie wesołego „dzieńdobry“, opowiadania o snach,



Wnętrze izby w alzackim domu.

projekty na dzień bieżący. Trzeba przyśpieszać tempo, gdyż za chwilę już odezwie się druga trąbka, wzywająca na śniadanie.

Wtedy maleńkie nasze koleżanki z Alzacji, nie przekraczające wiekiem dziesięciu lat, ustawią się parami, i z kubeczkami w ręku, długim korowodem przejdą do sali jadalnej, śpiewając po drodze wesołą piosenkę o słoniu, który się huśtał na nici pajęczyny. Jako cudzoziemkom i starszym dziewczętom, zostawiono nam więcej swobody, a przy posiłkach rozłączono nas. Miałyśmy więc możność, nie biorąc same udziału, obserwować nieraz życie obozu, i nasze przyjaciółki, z któremi porozumieć się było bardzo trudno. Język alzacki jest mieszaniną francuskiego i niemieckiego, ze specjalnemi wyrazami lokalnemi. Niektóre małe obozowniczki, po francusku zaledwie rozumiały, a mówiły tylko po alzacku.

Dzień nasz był wielce miły i urozmaicony. Po śniadaniu odbywała się na boisku lekcja gimnastyki połączona z pląsami i grami, potem spacer, aż do śniadania drugiego t. j. do godziny dwunastej.

Po śniadaniu miałyśmy czas wolny, który poświęcało się na korespondencję, pisanie pamiętników, lub zakasawszy rękawy, szło się do pralni urządzonej na świeżem powietrzu, i urządzało się wielkie pranie pończoch, lub innych drobiazgów.

Kiedyś, obok mnie, prała z zapałem fartuszek osoba niemal nosem sięgająca basenu, opowiadała mi przytem, że otrzymała z domu list, paczkę i pięć franków. List przeczytała jej pani, paczka zniknęła przy udziale koleżanek, a pieniądze wziął pan dyrektor na przechowanie, bo dzieciom nie wolno trzymać ich u siebie.

Do najmilszych rozrywek obozowych należały spacery i wycieczki dalsze, urządzane autobusem. My, szczególniej, robiłyśmy je często, chcąc zobaczyć jaknajwięcej, interesując się każdą nieznaną ścieżką.

A gdy zdawało się, że przy obiedzie o godzinie siódmej, nóg nie czujemy, po całym dniu bieganiny, wystarczyło, by zabrzmiał fortepian, a całe towarzystwo tańczyło i śpiewało do dziesiątej wieczorem.

Wśród zabaw i swobody, gdyż obóz miał charakter jedynie wypoczynkowy, przemknęło dwa tygodnie, jak z bicza trzasnął. Trzeba było wyjeżdżać...

Na pożegnanie zrobiono nam niespodziankę. Oto w przeddzień wyjazdu zorganizowano własnemi siłami koncert na naszą cześć. Przed rozpoczęciem, pan dyrektor przemówił bardzo ładnie, do dzieci alzackich, nawiązując historję Alzacji, która po wojnie światowej wraca do macierzystej Francji, do historji polskiej. Na zakończenie wniósł okrzyk na cześć Polski, który był powtórzony tak ochoczo i tyle razy, że wszystkie byłyśmy serdecznie wzruszone. Potem nastąpiły popisy, wreszcie tańce przedłużone tego dnia do jedenastej. A nazajutrz... smutne, łzawe rozstanie. Czy wrócimy tam kiedy, czy spotkamy jeszcze tych ludzi... to wątpliwe...



Alzatka w stroju narodowym.

Miło jest puścić myśl daleko, daleko i trafić na dobrze znany, ukwiecony wspomnieniami zakątek.

LEON ROTENSZTEJN.

# KILKA SŁÓW O ROZWOJU LOTNICTWA.



**Mjr. IDZIKOWSKI,**
bohaterski nasz lotnik, zginął dnia 14-go lipca r. b. na wyspie Gracioza, lecąc przez Atlantyk z Europy do Ameryki. Poległ we wspaniałej i cudownej walce człowieka z żywiołem, walce, w której prędzej czy później człowiek zwycięży. Niezapomnianą będzie jego pamięć w dziejach ludzkości.

Myśl lotu powietrznego kiełkowała w umyśle człowieka już od dawna. Starożytna legenda mówi nam o Dedalu i synu jego Ikarze, którzy podnieśli się do góry za pomocą skrzydeł, zrobionych z piór i wosku. Ikar do tego stopnia zapomniał się podczas lotu, iż zbliżył się zanadto do słońca; wskutek tego wosk stopniał i Ikar zginął w falach morza Egejskiego. Było jeszcze — w średniowieczu — kilka prób latania, lecz kończyły się one zazwyczaj tragicznie. Dopiero w 15-ym wieku idea awiacji zdobyła pewne podstawy teoretyczne, dzięki pracom genjalnego Leonarda da Vinci. Poczynił on cały szereg obserwacyj nad lotem ptaków i skonstatował, iż ptak podczas lotu opiera się o powietrze, „czyniąc je bardziej gęstem tam, gdzie lata". W 19-ym wieku zbudowano mnóstwo różnego rodzaju latających aparatów - ptaków mechanicznych, jakgdyby modeli aeroplanów; niektórym udawało się nawet przez pewien czas utrzymać w powietrzu. Decydująco wpłynęło na dalszy rozwój lotnictwa zbudowanie ogromnego aeroplanu przez Hirema Maksyma, choć lot jego skończył się niepowodzeniem. Ogromną też rolę odegrały prace i doświadczenia inżyniera niemieckiego Otto Lilienthala. Inżynier ten słusznie może być nazwany ojcem dzisiejszej aerodynautyki. Rezultaty swoich badań, w których szedł śladami Leonarda da Vinci, ogłosił on w książce, zatytułowanej: „Lot ptaków, jako podstawa". Dopiero jednak francuski kapitan artylerji, Ferber, zajął się pracą nad skonstruowaniem odpowiedniego motoru, którыby pozwolił latawcowi dłużej utrzymać się w powietrzu. Niemal równocześnie pracowali w tym samym kierunku dwaj amerykanie, bracia Wilbur i Orwil Wright (Rajt), którzy poczynili cały szereg doświadczeń i dokonali pierwszego szczęśliwego lotu. Wszystkie doświadczenia robili oni potajemnie, licząc, iż w wypadku powodzenia spieniężą dobrze swój wynalazek. I rzeczywiście, wcześniej, niż inni doszli oni do poważnych rezultatów: w roku 1904 udało im się dokonać przeszło 100 udanych lotów. Po długich pertraktacjach sprzedali oni swój wynalazek rządowi francuskiemu za pół miljona franków w roku 1908 i w tymże roku dokonali szeregu triumfalnych lotów w Ameryce i w Europie. Wkrótce potem poczynają powstawać fabryki, wyrabiające aeroplany i szkoły pilotów. Jednocześnie państwa dochodzą do wniosku, iż aeroplany można wykorzystać w celach wojennych. Nic też dziwnego, iż podczas wojny światowej aerodynamika rozwinęła się nadzwyczajnie. Powiększa się szybkość motoru, udoskonala konstrukcję i uzbrojenie aeroplanu. Ze 100 — 110 km. na godzinę (rok 1914), szybkość dochodzi do 200 i więcej km., a uzbrojenie przechodzi ewolucję od zwykłego Mauzera do karabinu maszynowego, oddającego 600 strzałów na minutę. Dziś rekordy pod względem dłu-

gości lotu, czasu przebywania w powietrzu i szybkości (360 km.) zmieniają się z dnia na dzień. Są organizowane loty dookoła świata, loty przez Atlantyk i t. p.

W najbliższej przyszłości aeroplan będzie odgrywał coraz większą rolę w dziedzinie komunikacji pasażerskiej. Już dziś jednak powstał cały szereg linij komunikacji pasażerskiej, z których największą i najlepiej zorganizowaną jest linja Londyn — Indje. Czytelnika napewno zainteresuje bliżej organizacja tej potężnej linji. Otóż aeroplan pasażerski, opuszcza Londyn w sobotę i po tygodniu ląduje w Karaczi, w Indjach. Stąd następnego dnia, t. j. w niedzielę startuje inny statek z pasażerami i pocztą, i również po tygodniu opuszcza się w Londynie. Przebieg tego przelotu przedstawia się następująco: Linja podzielona jest na 3 odcinki powietrzne i jeden kolejowy. Pierwszy aeroplan, niewielkich stosunkowo rozmiarów, opuszcza rano lotnisko londyńskie i tego samego dnia wieczorem przybywa do Bazylei. Tutaj pasażerowie wsiadają do pociągu nocnego i przybywają następniego dnia rano do Genui. W Genui czeka na nich samolot angielski, w którym przelatują do portu łotniczego w Aleksandrji (Egipt). Z Egiptu do Karaczi leci się już jednym tylko aeroplanem, olbrzymich rozmiarów, ponad Palestyną, Transjordanją, Mezopotamją i zatoką Perską. Podróżni znajdują się w powietrzu ogółem 56 godzin. Podróż trwa jednak cały tydzień, t. j. 168 godzin. Pozostałe godziny przeznaczone są na odpoczynek. Samolot w drodze z Egiptu do Indyj w ciągu dnia przebywa w powietrzu tylko 7 godzin, poczem ląduje, a pasażerowie mogą odpocząć, a nawet zwiedzić okolicę. W tych wszystkich miejscowościach pod drodze, w których aeroplan zatrzymuje się na noc, towarzystwo lotnicze posiada własne hotele. Fakt jednak, iż w ciągu tygodnia przebywamy drogę z Anglji do Indyj — jest godnym zastanowienia. Sto lat temu Indje znajdowały się „na końcu świata". Podróż okrętem żaglowym, zdanym na łaskę wiatrów, trwała conajmniej 4 miesiące. Później, gdy przekopano kanał Suezki — skrócono ją do 2 miesięcy. Dziś trwa zaledwie tydzień.

Oprócz komunikacji pasażerskiej samolot spełnia doniosłą rolę i w innych dziedzinach życia. Zagranicą używają go w dziedzinie gospodarstwa wiejskiego, np. w walce z szkodnikami. W tym celu na aeroplan stawia się szereg przyrządów dla zraszania pól, nad któremi samolot przelatuje w niewielkiej wysokości. W Ameryce używa się samolotu z powodzeniem w służbie wartowniczej na wielkich obszarach leśnych, celem obserwacji — nad powstającemi pożarami lasów. Były nawet próby gaszenia takich pożarów z aeroplanów za pomocą specjalnych bomb przeciwogniowych. Jednocześnie wspomnieć należy, iż w Nowym Jorku powstał ostatnio projekt założenia aeroplanowego oddziału straży ogniowej. Chodzi o to, iż zwykła straż ogniowa nie ma dostępu do najwyższych pięter drapaczy nieba. To też w razie pożaru byłyby one atakowane strumieniami wody — ze zbiorników aeroplanowych, krążących w powietrzu. Doniosłą rolę spełniać może samolot również w służbie sanitarnej, w wypadku nagłej pomocy i t. p. Tak np. w Australji był cały szereg wypadków, gdy aeroplan, wysłany z lekarzem do dalekiej okolicy, ratował życie człowieka, któryby w innych okolicznościach musiał niechybnie zginąć.

Tak więc aeroplan odgrywa coraz większą rolę w życiu dzisiejszem.

---

**WANDA MELCER-SZTEKKEROWA** — POWIEŚĆ

# POŚCIG Z PAMPASÓW.

(Ciąg dalszy).

Assuncion prowadziła oficjalnie handel sukniami, które częściowo szmuglowała z Europy, częściowo szyła na miejscu, ale ze swoim zmysłem do handlu zbierała też rozmaite drobiazgi tubylczego wyrobu, ozdoby głowy i fartuchy z piór, robione przez Indjan, amulety z kłów dzika i naszyjniki z wysuszonych owoców palmy. Handlowała też pocichu i czem innem, o czem lepiej nie wspominać, ale co było bardzo intratnym procederem. Troskliwy brat

pytał jej się teraz o jej sprawy i czy nie może jej w czem być pomocny.

Wyprawiła go spać do jednego ze swoich pokojów na górze, pocóż miał wracać na przedmieście? Szczęśliwy Pedro ułożył się na miękiem łóżku i nakrył puchową kołdrą. Niestety, ktoś z jego towarzyszy zrobił widocznie doniesienie (jeszcze mu nie wypłacono jego części). Policja przyszła w nocy. Od paru dni zmieniono naczelnika, wysyłając tamtego do innej prowincji i Assuncion nie zdążyła się z nim jeszcze zapoznać.

Rano osadzono Pedra w wielkiem, eleganckiem, komfortowo urządzonem więzieniu, w idealnie czystej celi, której drzwi wychodziły na żelazny ganek, stojący na cienkich łapach w podwórzu więzienia, jak wysmukły, czarny pająk. Ponieważ początkowo sądzono go tylko za kradzieże i skazano na kilka miesięcy więzienia, chodził codziennie do warsztatów, gdzie uczono go plecenia koszyków. Po obiedzie rysował i nawet jeden z jego rysunków oprawiono w ramki i powieszono w korytarzu oddziału A, gdzie dotąd wisi. Przedstawia kamelje w wazonie, kwiaty, które Pedro tak lubił. Po upływie trzech miesięcy, kiedy już myślał, że się jakoś wymiga, stracono go, jako złodzieja i wielokrotnego mordercę, podczas kiedy Assuncion, drżąc o swoją skórę sprzedała domek przy calle Salta Nr. 1012 i wyjechała do Buenos Aires ze wszystkiemi manatkami.

Tymczasem, kiedy takie były losy książki i kiedy to pokojowe dzieło było już w rękach czterech ludzi, którzy stali się trupami, Sebastjan wiądł w matczynej estancji i nie zanosiło się wcale na to, żeby dni jego miały się odmienić ku lepszemu. Wszystkie sprawy szły, niby to, jak zwykle, ale młodemu człowiekowi zabrakło moralnego pionu, czy gorsetu, który go dotychczas podtrzymywał — i jego skądinąd jednolita postać zaczęła się niepokojąco chylić. Od kilku lat już zapisywał swoje myśli na rozmaitych kartkach papieru, a kiedy nie pisał, to przygotowywał sobie rozdziały i zdania, albo czytał rzeczy potrzebne. Teraz zabrakło mu tego — i nie wiedział, co ma z sobą zrobić. Przypominał też sobie swojego ojca, który, zanim się ożenił, był nauczycielem w małej wiosce okręgu Missiones. Sebastjan miał już osiem lat, i chował się cały czas na wsi u ojca, kiedy ojciec zdecydował się na ten późny ślub z Dolores Huerzo i przeniósł się na daleką estancję hodować bydło.

Jeszcze kilka lat szło to jakoś rozpędem, ojciec uczył Sebastjana gramatyki i historji, bo przyjemnie mu było kogoś uczyć, a tak mało nadawała się do tego Dolores. Tak, żona nie była polem doświadczalnem. Zawsze źle mówiła po polsku, i nawet wtedy, kiedy jej ojciec umarł i kiedy, zdawałoby się, nie miała już w nikim moralnego podtrzymania, nie poddała się mężowi, tylko właśnie koncentrując na nim całą energję, zmusiła go do zajęć, które jej i jej synowi mogły zapewnić dobrobyt. Potem, kiedy mąż umarł, Dolores żyła samotnie z synem, a jej męski charakter doskonale godził się z faktem osamotnienia i rządzenia samodzielnie narodem gauczów, ujeżdżających konie i pilnujących bydła.

Dolores myślała, że tylko żona, dzieci i życiowe, konieczne troski robią z chłopca mężczyznę i rozmyślała o odpowiedniej żonie dla swojego syna. Na szczęście, owe o cztery dni drogi położone pastwiska należały do bogatego sąsiada, który miał kilkoro dzieci, w tem dwie córki. Na jedną z nich, Nieves, zwróciła Dolores uwagę i często ściągała młodą dziewczynę do swojego domu.

Imię Nieves jest imieniem Matki Boskiej Śnieżnej, tak, jak patronką każdej Dolores jest Matka Boża Boleściwa, obyczajem hiszpańskim, przeniesionym do Ameryki Południowej. Pomimo jednak tego pięknego imienia, śnieżysta Nieves brzydkiem była dziewczyskiem. Ojciec jej był synem indjanki i białego, Nieves była więc kwarteronką, co nie dałoby się nigdy ukryć. Kiedy urodził się ten chłopak, który dziś już siwym był mężczyzną, matka jego, nosząca imię, które się nie da na żaden sposób w cywilizowanym języku napisać, ani wypowiedzieć, bo wbrew poetycznym legendom, Indjanie nazywają swoje liczne żony i córki bardzo nieprzystojnie — kiedy się więc urodził, powiadam, matka jego ulokowała go własnoręcznie w koszyku z łozy w lodowatem strumieniu i czekała, co z tego dalej wyniknie. Lodowate, wielokrotnie powtarzane kąpiele dla noworodków są w jej plemieniu zwyczajem, jest to niejako naturalna selekcja. Ci, co od tego umierają, nie byliby i tak nigdy zdolni do szerszej akcji życiowej, zato ci, co wyżyją, świetnie się potem wywiązują z zadań, jakie pobyt na tym świecie na nich nakłada.

D. c. n.

# Z GÓRNEGO ŚLĄSKA.

## ŚWIAT PRACY.

W końcu dochodzi się do miejsca, gdzie chodnik rozszerza się w „filar“. Pracuje dwóch ludzi ledwie widocznych w ciemności, czarnych — na tle czarnego węgla, jakby zagubionych w podziemiu, w mroku, w nocy...

Mają twarze usmolone, błyskające zęby i oczy. Mówimy im „szczęść Boże“ — odpowiadają „Daj Boże!“ Siadamy przy nich na odłamach węgla, żeby odpocząć. Przyglądamy się, jak pracują.

Trzymają w rękach „bory“ (świdry), poruszane bądź zgęszczonem powietrzem, wtłaczanem w rury przez maszyny, pracujące na powierzchni ziemi, bądź też prądem elektrycznym, przeprowadzonym również z powierzchni ziemi. Bor wkręca się w ścianę węglową, wierci w niej dziurę. W tę dziurę górnik zakłada ładunki z materjałem wybuchowym: dynamitem, lignozytem, saletrą — zapala lont i mówi: — Uciekajcie.

Brzmi to tak, że osoby zwiedzające śpieszą się o wiele więcej, niż tego wymaga ich ebzpieczeństwo, potykają się w mrokach na nierównym gruncie, w końcu zdyszane, przycupnięte gdzieś w bocznym chłodniku, nasłuchują z biciem serca.

Głuchy huk.

Wybuch skończony, można wracać. W ciemnej jaskini niewiele się zmieniło — dla oczu zwiedzających. Ale oko górnika odrazu ocenia, na ile wózków odwaliło się węgla.

Naśypywacze ładują pokruszony węgiel na wózki. Wózki toczą się na łańcuchach po pochyłości. W głównym korytarzu doczepia się je do kolejki z małą lokomotywą. Toczą się w kierunku szybu — do wind.

Musimy już wracać. Tyleśmy czasu zabrali przewodnikowi! żegnamy się z górnikami serdecznie, jak z przyjaciółmi. Bo dziwnie solidarnym jest człowiek wobec człowieka — o sześćset metrów pod powierzchnią ziemi. Trzymamy razem. To jesteśmy my: górnicy, robotnicy, nasypywacze, dyrekcja, sztygary, goście — wszyscy razem, wszyscy zbratani przeciw ciemności, powietrzu, wodzie, ogniowi! Tam, na ziemi, górnicy mają zatarg z dyrekcją, górnika córka nie wyjdzie za mąż za nasypywacza, sztygar nie zasiądzie przy jednym stole z górnikiem, a goście rozsypią się po świecie! Ale tu pod ziemią, wobec czarnego Ducha Kopalni wszyscy są braćmi.

Tylko jeszcze, zanim wyjdziemy stąd, musimy coś zobaczyć. Zobaczyć „tamę“.

Zwyczajna murowana ściana, zamykająca korytarz. Jak gdyby nigdy nic.

I pomyśleć, że za nią szaleje pożar! że gdyby nie ona, ogień wdarłby się tutaj, zalałby wszystkie korytarze, wszystkie pochylnie, wszystkie filary! Zalałby całą kopalnię, nicby go nie powstrzymało...

Gdy tylko wyniknie pożar, budują tamę, żeby go izolować, żeby powstrzymać dostęp powietrza. Lecz za tą tamą węgiel się pali, całemi tygodniami, całemi miesiącami, niekiedy przez całe lata — aż w końcu sam wygaśnie, pochłonąwszy całe złoża węglowe.

— Co dzień ją kontrolujemy: czy nie gorąca? Czy ogień nie zanadto się zbliżył z tamtej strony? Czy nie wydobywa się gdzie gaz? Teraz jest wszystko w porządku.

— A nie bywa niespodzianek? Czegoś nieprzewidzianego?

— O, owszem! Tysiące niespodzianek! Wszystko się może zdarzyć.

Staliśmy patrząc w milczeniu na zwyczajny, niewinny mur. I nagle wszyscyśmy zapragnęli iść już, wracać.

— Chodźmy już, chodźmy!

Powrót innemi chodnikami, wywołującemi rozmyślania o nieskończoności. W windzie — o jakiejś chwili, na jakiejś wysokości — głosy odwijają się z flaneli, stają się jasne i dźwięczne.

Winda zatrzymuje się — robi się trochę dziwnie i trochę mdło. Jesteśmy na ziemi.

Oddajemy w korytarzu lampki. Mijamy halę z pułapem z tobołków, i halę z tuszami z gorącej wody, gdzie się górnicy myją po pracy. Mydłem i gorącą wodą! Raz, drugi, trzeci — od stóp do głów. Potem się przebierają i wychodzą na ulicę. Szychta skończona.

A my jutro pójdziemy do żelaznej Huty!

# ROZRYWKI UMYSŁOWE.

## Letni Turniej Zadaniowy.

W numerze niniejszym rozpoczynamy *Letni Turniej Zadaniowy*, który obejmie szereg zadań różnego typu. Za rozwiązanie poszczególnych zadań, każdemu uczestnikowi zaliczy się pewną ilość punktów. Zdobywcy największej ich ilości otrzymają *Nagrody Turniejowe*. Pomiędzy wszystkich nienagrodzonych uczestników zostaną rozlosowane *Nagrody Pocieszenia*.

Równocześnie z *Letnim Turniejem Zadaniowym* ogłaszamy *Turniej Autorski*.

Wszystkie zadania, wchodzące w skład *Turnieju*, będą podlegały ogólnemu głosowaniu czytelników. Przy nadsyłaniu rozwiązań z każdego numeru, należy zaznaczyć, które zadanie z tego numeru uważa rozwiązujący za najładniejsze i najbardziej pomysłowe. Po zakończeniu *Letniego Turnieju Zadaniowego* głosy, oddane na poszczególne zadania, zostaną zsumowane i podane w wynikach *Turnieju*.

Autorzy zadań, które zdobędą kolejno 3 pierwsze miejsca, otrzymają *Nagrody Autorskie*.

Każdy uczestnik *Letniego Turnieju Zadaniowego* jest obowiązany do wzięcia udziału w głosowaniu na *Turniej Autorski*, w przeciwnym bowiem razie będzie pominięty w losowaniu *Nagród Pocieszenia*.

Rozwiązujący winien podać swe imię i nazwisko, oraz dokładny adres. Dopuszczalne są również rozwiązania pseudonimowe, jednak pod warunkiem podania nazwiska do wiadomości kierownika działu.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa każdorazowo w dwa tygodnie po wyjściu numeru. Rozwiązania spóźnione uwzględniane nie będą.

Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem: *Redakcja „Świat, Dom i Szkoła", Warszawa, Hipoteczna 5. „Rozrywki Umysłowe"*.

### 1. SZARADA.
(Za rozwiązanie 3 p.).

Wyleciały dwa Orły, dwa polskie Junaki,
z żywiołem w zapasy o palmę zwycięstwa!
Lot Ich podniebny, przepotężny taki...
dowiódł niezbicie, że nie brak Im męstwa.
*Sześć* — *druga* — *pierwsza* wielka święta w duszy
wiara Ich wiodła w to, że czyn tak śmiały
Ocean zdobędzie, przeciwności skruszy, —
a Polsce przysporzy wawrzynów i chwały!
Lecz jest medalu i druga *trzy* — *piąta*,
są *cztery* — *drugie* i jest ręka Boża...
i siła nieznana, co zamysły pląta...
...Znowu niezdobyte tajemne przestworza!
Tam... na *sześć* — *siedem* — *ośm* mogiła zabrała
*pięć* — *pięć* — *ośm* podane jej zwłoki Junaka!
Pamięć Bohatera będzie wśród nas trwała,
bo nie ginie w Narodzie pamięć wielka taka!
I tu się kończy *trzy* — *czwarta* szarady,
co zamiast Orła powitać radośnie,
w imieniu szaradziej żegna Go gromady...
żegna z miłością, serdecznie, żałośnie...

*Michalina Wysocka.*

### 2. ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.
(Za rozwiązanie 2 p.).

Z wyrazów: *Warszawa, Kalisz, Serock, Łańcut, Praga* wyjąć po dwie litery, aby dały nazwę dwóch polskich rzek.

*Czesław Kozłowski.*

Termin nadsyłania rozwiązań z numeru niniejszego upływa dnia 18 sierpnia r. b.

### ODPOWIEDZI.

(1) *P. Józef S. — Ostróg n/Horyniem.* Niestety, zadanie takie było już drukowane w swoim czasie w tygodniku „Labirynt".

(2) *P. Ewa Szub. — Krzemieniec.* Dziękujemy. Część pójdzie.

(3—5) *Pp.: Chrzanowski Jan, Janowski Władysław — Warszawa, Finkel Leon — Ostróg n/Horyniem.* Za nadesłany materjał dziękujemy. *J. Ł.*

Kierownik działu przyjmuje w lokalu Redakcji, we wtorki od godziny 1.30 — 2-ej pop.



**Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 152-71.**
**Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.**
**Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.**
**WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.**
**Konto P. K. O. Nr. 19929.**

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.